

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W pochmurną noc, gdy mieszkańcy twierdzy Silleur postanowią wreszcie położyć się spać, na plaży jest niemal całkowicie ciemno. Wtedy lubi tu przychodzić. Wymyka się „drugą drogą”. Siada na kamieniach i pozwala wodzie chwycić się za kostki. Patrzy w mrok i widzi swoje życie. Nawiedzają go obrazy całkiem zapomnianej przeszłości. Wracają nieubłagane. Poddaje się temu z pokorą, jaką daje ponad dziewięćset osiemdziesiąt lat życia na ziemi. Wie, że wracają, by sobie przypomnieć. To jego szansa na zrozumienie. Na ocenę. Na zadowolenie lub żal. I na naprawę błędów, o ile się da.

Oto wielki taras Silleur. Ale barierka jest inna niż teraz i sięga mu do piersi. Ustawia na niej małe ludeczki, które dostał od ojca. „To moje wojsko” – mówi. Nagle słyszy kobiecy głos: „Denúsharell”, „Lartié, Ladmi!”. „Idę, mamol!” – odpowiada, ale nie rusza się z miejsca; zostało jeszcze dwunastu żołnierzyków. Ustawia ich, jednego za drugim i nie wie, ile czasu upłynęło. Wreszcie ona znajduje go. „Denú!” – mówi z wyrzutem, ale w jej głosie wciąż jest czułość. Podchodzi od tyłu i pochyla się, obejmując go, a jej czarne włosy spadają pomiędzy niego a żołnierzy pachnącą zasłoną. Odwraca się ku niej i łapie za szyję, płacząc się we włosach. Podnosi go ze śmiechem. Jej śmiech jest jak słońce. Jej oczy, czarne i błyszczące, są jak dwa słońca. W jej uszach

błyszczą wesoło kolczyki. Jej skóra, ciemniejsza od skóry ojca i od jego własnej, też jest złotawa. Ladmi. Matka.

Czas jest krótki. Jego ciało mu o tym nie powie; ono, jak zwykle, ma się dobrze. Mówi mu o tym narastający niepokój, powracające wizje, i morze, coraz silniej chwytające za kostki.

Oto stoi w wodzie, zgięty wpół nad małą łódką. Jest noc, a jego rozpala gniew. Jego syn nie będzie żył tak, jak on. Jego syn będzie szczęśliwy. Światło księżyca błyska zimno w ostrzu noża.

To jest złe – mówi jakiś głos.

Mój syn będzie szczęśliwy! – odpowiada inny.

Zło nie prowadzi do szczęścia.

Nie ma innej drogi!

Ostrze wbija się w drewno. Nie w dno, ale trochę poniżej. Powstaje kilka niewidocznych nacięć po jednej i drugiej stronie.

Czasem budzi się w nim strach, lodowaty, niepowstrzymany, wyjący jak osaczone zwierzę. Ale wtedy rozum nakazuje mu zachować spokój: ten strach to część życia; umieranie to część życia. On umiera, choć nikt o tym nie wie. Nie ma co uciekać przed nieuniknionym. Trzeba wyjść mu naprzeciw.

*

Rozległ się nieśmiały stukot kołatki. Służąca zjawiała się niepostrzeżenie i podążyła uchylić drzwi królewskiej sypialni. Poszeptała tam z kimś chwilę i powróciła, by stanąwszy przed łóżem, dygnąć i obwieścić:

– Wasza Wysokość ma gościa.

Królowa nagłym ruchem uniosła się na łokciach.

– Czy straż zastosowała się do mojego polecenia? – krzyknęła tak głośno, żeby po drugiej stronie uchylonych drzwi ją usłyszano. Mimo to służąca dygnęła i podeszła znów do oczekującego posłańca, który nie śmiał wejść do prywatnych pomieszczeń chorej

monarchini. Zasięgnąwszy informacji, zawróciła, po drodze już przytakując.

– Tak, pani. Wszystko zgodnie z zarządzeniem.

– Pomóż mi się ubrać – zakomenderowała królowa, odrzucając niebieską koldrę i w koszuli zeskakując na dywan – ale bardzo szybko!

– Tak, pani – służąca dygnęła znowu i wybiegła. Po chwili wróciła z wieszakiem na kółkach, na którym wisiały dwie sukienki. Wybrała je sama, dobrze znając swoją panią. Pierwsza była jasno-kremowa, wyszywana perłową nitką w pnącza powoju, miała rozszerzane rękawy i dekolt w kształcie liścia. Była to suknia szyta przez elfy, jedna z wielu, które królowa sprowadziła po powrocie ze swej podróży. Od tamtego czasu w garderobie pojawiły się także elfie kolczyki, naszyjniki, kolie i bransolety, sprzęty codziennego użytku, jak na przykład lampy z kolorowego szkła czy lichtarze w kształcie drzew, zdobiące także i tę sypialnię w letniej rezydencji. Sama rezydencja została w zeszłym roku wyremontowana i przebudowana, również według elfiego gustu.

Druga suknia była uszyta z atlasu w brudnoniebieskim kolorze, w którym królowej było wyjątkowo do twarzy. Nie miała w sobie nic elfiego; talię podkreślała suto marszczona spódnica, rękawy były proste, dekolt również, nie było też żadnych zdobień na lśniącym metalicznie błękitie tkaniny. Świetnie za to prezentowały się na niej rodzime klejnoty ze srebra. Tę właśnie suknię, zgodnie z przewidywaniem służącej, wskazała królowa zza parawanu, gdzie pluskała się pośpiesznie nad miednicą. Ubrawszy się z pomocą szybkich i wprawnych rąk pokojowej, usiadła przy toalecie i drżącymi dłońmi wysypała na blat zawartość kasety ze szminkami. Służąca, mając ręce zajęte układaniem ciemnorudych włosów królowej, obserwowała przy tym bacznie jej poczynania.

– Nie polecałabym – powiedziała, chwytając w lustrze spojrzenie dużych, szarych, nieco nieprzytomnych teraz oczu. – Tak, ta

będzie lepsza – zakończyła lakonicznie i z aprobatą obserwowała dalej, jak Eulalia z wprawą zakresła linię górnej wargi morelową pomadką. Jej ręce nie drżały już, przynajmniej na tę chwilę.

– Dziękuję ci, Habro – powiedziała z ulgą w głosie.

– Perfumy – przypomniała Habra.

– Tak... – ręce królowej, znów nerwowo, zaczęły przeszukiwać flakoniki. Po chwili zatrzymała się, niezdecydowanie ważąc w dłoniach dwie fiołki.

Oczywiście te z lewej, chciała powiedzieć Habra, ale powstrzymała się. Ambra i jaśmin. Nad czym tu się zastanawiać?

Ambra i jaśmin, ambra i jaśmin – myślała tymczasem królowa. A może nie, może drzewo herbaciane? Przecież ta suknia już jest aluzją. Ale suknia mogła wyjść przypadkiem, zapach nie. Muszę zrobić to, co ja chcę. On chce ambre, to ja chcę drzewo herbaciane. Niech się wypcha swoją ambra. A jeśli przyszedł przeprosić? Nieważne! Jeśli tak, będzie mu wszystko jedno... A jeśli nie? Jeśli nie... koniecznie drzewo herbaciane! I szminka, tak! Mur ze szminki, i to właśnie czerwonej.

Wylała na dłoń parę kropel perfum i wtarła w szyję i we włosy. Pomalowała na nowo usta, omijając w lustrze odbicie Habry, pełne dezaprobaty.

– Jak wyglądam? – zapytała, obróciwszy się na pięcie.

– Bardzo pięknie – odpowiedziała Habra bez przekonania, wciąż zła za kolor szminki.

Nie zważając na to, Eulalia znów pochyliła się nad lustrem, przyglądała brwi, poprawiła włosy i ruszyła ku drzwiom, gdzie czekała na nią eskorta czterech dam i tyluż paziów. Wszyscy zaczęli ją witać i pytać o samopoczucie, ale odpowiedziała jednym, zbiorczym „Urutaié”, więc umilkli. Tylko jeden z paziów, dwunastoletni grubasek, odważył się powiedzieć:

– Ślicznie dziś wyglądasz, pani.

Królowa odpowiedziała mu uśmiechem pełnym wdzięczności. Bardzo potrzebowała tego zapewnienia. Mimo to przed wejściem do hallu omal nie przystanęła, zdjeta nagłym strachem. Odruchowo rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś oparcia i wzrok jej padł na duże lustro zdobiące ścianę. Zobaczyła w nim siebie: dumną i piękną, w podkreślającej kształt jej głowy fryzurze, w cudownie niebieskiej sukni, w otoczeniu wiernych dworzan i w królewskim diademie, który był wykonany z magnolskiego srebra z Seiligen, ale – rękami elfów. Wyprostowała się i przekroczyła próg drzwi, za którymi gość mógł swobodnie ujrzyć ją, a ona mogła ujrzyć jego. Z tym, że ona patrzyła z góry, z wysokości balustrady, z której podwójne schody dwiema drogami wiodły do hallu, otoczonego kolumnami i wyłożonego szklaną mozaiką na modłę nadmorskiej twierdzy elfów w Sílleur. Błękity i oranż, dominujące w pomieszczeniu, cudnie korespondowały z jej ubiorem, gdy stanęła przy balustradzie, by spojrzeć na tego, kto przybył ją odwiedzić. Spojrzała i znieruchomiała. Zdumienie, rozczarowanie, a potem radość i ulga przebiegły w szalonym tempie przez jej uszmińkowaną twarz.

– Ísivial! – krzyknęła i rzuciła się w dół po prawych schodach, nie zważając na zdeorientowaną gromadkę, która w nieładzie podążyła za nią. – Ísivial, kochana! – wykrzyknęła, rzucając się na szyję jasnowłosej dziewczynie w szarym płaszczu i spodniach do jazdy konnej.

– Cay, królowo moja, jak ty wyglądasz! – śmiała się tamta, odważając się uściski. – Jak nie ty! Ale pięknie, bardzo pięknie!

– Isi! Isi, nie masz pojęcia, jak się cieszę, jak strasznie, okropnie się cieszę, że jesteś!

– Strasznie i okropnie? Eí, proszę... Cayenne, czy coś się stało? – zapytała jasnowłosa w mowie elfów.

– Och, eíáh... tak, mnóstwo rzeczy – mówiła szybko Eulalia, mieszając języki – ale najpierw musisz mi opowiedzieć, wszystko, wszystko, co się z tobą działo.

- Eí, ty też mi musisz opowiedzieć, co robiłaś przez ponad rok!
- To już rok?
- Nawet więcej, przecież jest połowa września.
- No tak, to ponad rok od naszego ostatniego spotkania... A mi się wydaje, jakby to było dziesięć lat – powiedziała królowa.
- Cayenne, zabierz mnie gdzieś, gdzie będziemy same i opowie-
my sobie wszystko.
- Oczywiście! Ale najpierw dostaniesz pokój. Arin! Każ przy-
gotować pokój dla pani Ísivial. Błękitny!
- Eiáh, błękitny? Czy to teraz twój ulubiony kolor? – zaśmiała
się elfka.
- Błękitny, kochana, błękitny. Bo jest najbliżej mojego.

*

Na srebrnej tacy wniesiono śniadanie: bulki, ciasteczka, owoce, do tego sok truskawkowy oraz mleko z miodem. Służący posta-
wił tacę na niskim stoliku śniadaniowym i bezszelestnie opuścił
pomieszczenie, kłaniając się. Ísivial uśmiechnęła się, chcąc mu po-
dziękować, wskutek czego mężczyzna splonął rumieńcem i nie-
omal potknął się w drzwiach.

– Ładny salon – powiedziała elfka, rozglądając się po pomiesz-
czeniu, gdzie jadły. Był to nieduży, zaciszny, lecz jasny salonik, na-
leżący do osobistych apartamentów Eulalii. – Wiesz, właśnie zda-
łam sobie sprawę, że nie wiedziałam dotąd, jak mieszkasz.

– Hm – uśmiechnęła się Cayenne, popijając bułkę mlekiem –
rzeczywiście, zwykle to ja gościłam u ciebie.

– Albo obie gościłyśmy u kogoś. Pamiętasz strych dziadka Ze-
gry?

– Nigdy go nie zapomnę! Zwłaszcza w deszczu – zaśmiała się
królowa – ale dziadek-orkiestra był kochany.

– Widziałam się z nim, wiesz? – powiedziała elfka.

- Naprawdę? Kiedy?
- Jakoś wiosną. Nawet pośpiewaliśmy trochę razem.
- No proszę! I jak on się miewa?
- Po staremu.
- A Matusinka?
- Tym razem nie próbowałam u nich nocować, więc nie wiem. Ale podobno nieźle, tak twierdził Zegra.
- Ech, a jednak wspominam tamten strych z sentymentem – powiedziała Eulalia. – Tak samo jak grotę dla nicelfów.
- Nie przypominaj mi! – elfka potrząsnęła buntowniczo głową, aż zafalowały jej jasne włosy.
- Dlaczego? – zaoponowała Cayenne. – Mów, co chcesz, ale dla mnie to był najprzyjemniejszy moment pobytu w Silleior.
- Eí, może to i racja, potem było już tylko gorzej... Długo tam jeszcze zostałam po moim, hm... wyjeździe?
- „Wyjeździe”? A miałaś chociaż konia do jazdy?
- Nie miałam, to fakt. Ale dwa dni później już jechałam. Świńskim rydwanem.
- Jak to świńskim? – zdumiała się Cayenne.
- Eíáh, czekaj, po kolei; ja pierwsza zadałam pytanie.
- Dobrze więc. O ile mi wiadomo, opuściłam Silleior w tym samym dniu, co ty.
- Co? – elfka odłożyła wzięte ciastko, czekając na wyjaśnienie.
- Wyrzucili cię? Czy też uciekłaś? Ale jak niby?
- Czekaj, spokojnie – zatrzymała ją królowa, podciągając suknię na kanapę i krzyżując nogi po turecku. – Nie wyrzucili mnie i nie uciekłam. Nie wyszłam również przez bramę, jeśli cię to interesuje.
- Aha. Umiesz podgrzewać atmosferę. Więc?...
- Powiedzmy – ciągnęła Cayenne, nie chcąc rezygnować z dalszego podgrzewania atmosfery – że opuściłam twierdzę elfów z pomocą niespodziewanie pojawiającego się przyjaciela.

– To tak jak ja – powiedziawszy to, Ísivial uśmiechnęła się do siebie i zagłębiła się w myślach. Cayenne, rozczarowana brakiem odpowiedniej reakcji, pochłonęła niecierpliwie ciasteczko.

– Nie interesuje cię, kto to był? – zapytała z pełnymi ustami.

– Oczywiście, interesuje – Ísivial natychmiast wróciła do rzeczywistości.

– Otóż był to... Guido – dokończyła wreszcie Eulalia.

– Guido – powtórzyła elfka, nie rozumiejąc. – Chyba go nie znam?

– Rzeczywiście, nie znasz – usłyszała w odpowiedzi – ale już kiedyś o nim słyszałaś. Tylko wtedy jeszcze nie miał na imię Guido... chyba.

– Eí, Cayenne! Wiesz, że lubię fascynujące opowieści, ale tym razem mamy rok do nadrobienia i niezbyt wiele czasu na zwierzenie, więc... mogłabyś, z łaski swojej, się streścić?

– Guido to Fathaslad – powiedziała Cayenne. – Ten, którego widzieliśmy z Shinem w Soer Ethél, pamiętasz?

– Ten mały? Mały czerwony żrebaczek?

– Tak jest – powiedziała Cayenne, wzruszona. – Przyleciał po mnie. I nie jest już mały.

– Eíáh... – szmaragdowe oczy elfki badały przez chwilę twarz przyjaciółki.

– No, wiem.

– Niezłe wydarzenie – przeżywała dalej elfka.

– A następne były nie gorsze – powiedziała dziewczyna, podnosząc do ust szklanę z sokiem.

– Opowiedz mi wszystko! – zażądała Ísivial.

– Poczekaj – przerwała tamta – najpierw ty powiedz, jak było z tą twoją ucieczką.

Ísivial westchnęła.

– A co wiesz? – zapytała.

– Wiem to, co wiedzą w Silleior: uciekłaś podziemiami, a pomógł ci Blishen.

– Tak właśnie było. Przepraszam, że nie zostawiłam ci wtedy wiadomości, powinnam była.

– I tak bym jej nie przeczytała – Cayenne machnęła ręką i poprawiła swą pozycję w chmurze niebieskiej spódnicy. – A jaki był właściwie powód twojej, hm, decyzji? Dość naglej chyba?

– Eiiáh... żebym ja to wiedziała! To było tak dawno i dziś wydaje mi się tak obce... Generalnie Vils Amroth postanowił wydać mnie siłą za męż, więc nie wytrzymałam nacisku i uciekłam. A z pomocą przyszedł mi niedoszły pan młody, ha ha! – roześmiała się głośno. – Myślę, że to była porządna nauczka dla króla elfów w Silleior!

– Hm, nie wiem... podobno ciężko to przeżył. Z jednej strony słusznie dostał nauczkę, nie powinien był was tak swatać na siłę. Ale z drugiej strony Blishen dopuścił się zdrady, i to, o ile dobrze rozumiałam, jest dla króla najtrudniejsze do przełknięcia.

– Czyżbyś chciała zaprzeczyć, że Blish postąpił słusznie, Cayenne?

– Nie. Staram się tylko zrozumieć, co przeżywa Vils Amroth, to wszystko.

– Widzę, że stał ci się bardzo bliski – rzekła elfka kwaśno.

– Myślę – powiedziała Eulalia – że nie jest zły. Tylko tym razem akurat popelniał błąd.

– Nie! – zielone oczy elfki pociemniały z gniewu – wybacz, ale mało go znasz. Gdybyś go słyszała wtedy, w bibliotece! To jest taki rodzaj władzy, której pycha przesłania świat. Vils Amroth gotów jest grać innymi jak pionkami na szachownicy.

– Nie przesadzasz czasem? – Cayenne nie mogła przyjąć tak surowej oceny króla. – Ja osobiście myślę, że on to zrobił z miłości do Blisha. Widział, że jest w tobie zakochany i chciał mu pomóc.

– Jesteś jednak bardzo naiwna – pokręciła głową elfka.

– Po prostu staram się widzieć rzeczy z więcej niż jednej strony
– odcięła się Cayenne i przez chwilę w saloniku zapanowała ciężka cisza. Przerwała ją Ísivial.

– Eí, Cay, przepraszam, to właściwie nie ma znaczenia. Ale powiedz mi, proszę, skąd ty w ogóle masz te informacje?

– Roun Laff wysłał do mnie Shetastiasa i Émmarroka, jeszcze na jesieni. Opowiedzieli mi wszystko, co działo się w Sílleior po moim... odlocie.

– A nie mówili ci czasem, żebyś unikała kontaktów z Sílleior?

– Powiedzieli tylko, że Roun Laff pojechał tam wcześniej, by rozmawiać o mnie z Vils Amrothem, a oni dołączą później.

– Spędzili tam zimę?

– Tak, chociaż chyba nie wszyscy... Zdaje się jednak, że Eloi pojechała w góry spędzić zimę z matką.

– Eíáh! – elfka uderzyła się w czoło – nareszcie dochodzimy do głównej przyczyny moich odwiedzin!

Wstała, chwyciła z fotela swoją szarozieloną podróżną torbę, rozsupłała węzeł i pogrzebawszy w worku dłuższą chwilę, wydobyla odpieczętowany list. Właściwie był to liść, konkretnie – liść platanu. Na pieczęci widniało odbicie sosnowej szyszki, a także nieco przyklejonych jej okruszków. Ísivial podała go królowej z uroczystą miną. – Znalazł mnie aż w Shetukin, zagraniczna poczta, wyobrazasz sobie? Eloi musiała chyba wysłać na zwiady wszystkie swoje szczygły!

– Eloi?... A co ty robiłaś w Shetukin? – zdumiała się Cayenne, biorąc do ręki list. Spojrzawszy jednak na karnecik, w jednej chwili spochmurniała.

– W Shetukin bardzo lubią teatr, więc nie omieszkaliśmy zagrać tam paru numerów... Co się stało, Cayenko? – zapytała, widząc, że Eulalia opadła na kanapę, jakby wypuszczono z niej powietrze.

– Nie umiem czytać elfich znaków – powiedziała z trudem królowa, oddając list – ale i tak wiem, co to jest. Zaproszenie na ślub, prawda?

– Dokładnie. Ale to raczej powód do radości, nie uważasz?

– No... tak.

– Chcesz, przeczytam ci: *Athín urutíl, athín suril. Ísivial, przyjedź koniecznie na nasze wesele, gdziekolwiek jesteś. Powiedz koniecznie Cayenne, gdziekolwiek jest. Wybaczamy, że nie było was na zaręczynach. A szkoda, wyglądaliśmy cudnie w jaśminowych wieńcach! Ale teraz musicie być! Mel też tak mówi. Kiedy? Siódmego dnia miesiąca śniegów. Gdzie? Jeszcze nie wiemy, klócimy się o to. Ale damy znać, gdy zapadnie decyzja. Urutaié! Eloi.*

– Ja nie pojadę, Isi – powiedziała ciężko Cayenne i nagle z jej oczu popłynęło mnóstwo łez. Polaly się na niebieski materiał, zostawiając granatowe plamy. Kiedy się ich tyle nzbierało? – zadała sobie pytanie elfka. A głośno powiedziała:

– Cay, eiaáh, co ty! – i przysiadłszy na niebieskiej chmurze królewskiej sukni, przytuliła przyjaciółkę najczulej jak umiała. – Co się dzieje, Cay? Miałam cię od razu zapytać, co ci jest, ale potem się rozchmurzyłaś, więc nie chciałam...

Z Cayenne lzy lały się jak z kranu. Raz dawszy im upust, najwyraźniej nie umiała ich zatrzymać, mimo że utrudniało to rozmowę.

– Przepraszam... Isi... – zachlipała, bezskutecznie wycierając nos chusteczką – tak się cieszę, że przyjechałaś... to taka ulga... móc myśleć... o czym innym – zakończyła i wybuchła szlochem na nowo. Tym razem elfka nie próbowała już nic z niej wydobyć, zamiast tego zaczęła śpiewać półgłosem. A że utwór był kołysanką, a ona wybitną śpiewaczką z elfiego rodu, już po dwóch zwrotkach królowa uspokoiła się, wytarła nos, wypila szklankę soku truskawkowego i odezwała się prawie normalnym głosem.

– Dziękuję ci, Isi. Niemniej jednak ja tam nie pojadę... gdziekolwiek to będzie. Wiem, że to niegrzeczne, ale nie mam wyjścia. Po prostu nie mogę. Wybacz.

– Ja?...

– Eloï też będzie musiała wybaczyć. I tak weźmie ślub, to przecież najważniejsze. Naprawdę dobrze im życzę, ale to jest... ponad moje siły. Nic nie poradzę.

– Eï, to szkoda – powiedziała elfka. – Myślałam, że będziesz nas godnie reprezentować.

– Jak to? A ty?...

– Eï, przecież ja nie mogę pojechać. Nie mogę pokazać się elfom, zwłaszcza Vilsowi. Jestem teraz, jakby to powiedzieć, w stanie banicji. Dobrowolnej, co prawda.

– Chcesz powiedzieć – zapytała powoli Eulalia – że przez ten cały czas nie widziałas się z nikim ze swoich?

– Eï, nie.

– I masz zamiar nadal nie widywać elfów?

– Czasem mi się zdarza. Ten list na przykład przyniósł mi Muriere. Więc można powiedzieć, że widuję elfów. Kazał cię pozdrowić.

– Aha. Dziękuję. Gdzie go spotkałaś?

– W Wolnym Mieście Shetukin.

– Aż tam? Ale historia.

– Kolejna historia – westchnęła Ísivial. – Jednak rok to kawał czasu. Elfowie powinni bardziej cenić lata.

– Ale wracając do tematu, pamiętasz, ja rok temu też byłam uciekinierką i bałam się jechać na festyn do Seiligen, ale mnie przekonałaś, więc może jednak...

– Nie, nie mogę widywać się z elfami i nie widywałam się raczej, jak do tej pory. Ale całkiem mi dobrze wśród ludzi – rzekła elfka pogodnie. – Właściwie to spełniam swoje marzenie; żyję wśród tego fascynującego plemienia i nie przestaje mi ono dostarczać powodów do zachwytu. Wiesz, że przez cały sezon byłam aktorką w zespole Ardiego?

– Hm... – zamyśliła się Eulalia. – Ale to trochę smutne: nie móc zobaczyć przyjaciół, Soer Ethél, naszego Lamí, Shina, Eloi... Z tym ślubem też szkoda.

– Ty możesz jechać, a nie chcesz – zauważyła Ísivial.

– Ty też możesz! – odcięła się Eulalia. – Nikt ci tam krzywdy nie robi.

– Może i nie... – odparła elfka, skubiąc koniec serwety. – Ale może ja mogłabym komuś zrobić krzywdę.

– Masz na myśli Blishena czy króla? – zażartowała dziewczyna.

– Blishena – zachnęła się Isi. – Choć pewnie niedługo to będzie to samo.

– No, raczej nie – odparła Cayenne z emfazą.

– Eí, wiem, powinien się ożenić. Ale Vilsowi tak zależy na oddaniu mu korony, że może zrobi wyjątek. Ostatecznie sam też nie ma syna, Blishen mógłby potem przekazać władzę komukolwiek z rodziny.

– Och, Isi, to ty nie wiesz? – Cayenne spojrzała na nią, zmieszana. – No tak, przecież z nikim się nie widziałaś...

– O czym nie wiem? – zapytała Ísivial.

– Jak prawo Sílleior każe strażnika, który dopuszcza się złamania tajemnicy straży.

– Eí... nie wiem – powiedziała elfka i jej szczupłe palce, którymi przeczesywała właśnie włosy, porzuciły to zajęcie i opadły na kolana, gdzie zwinęły się w pięść. – Jak?

– Banicją albo degradacją, wedle życzenia winnego. Blishen wybrał to drugie i spadł na sam dół drabiny. Został posługaczem Sílleior. Nigdy nie będzie królem.

Zielone oczy elfki rozszerzyły się na moment, potem spuściła wzrok na swoje ręce. Pomyślała o tym, o czym myślała też Cayenne: że Blishen musiał wiedzieć, co go czeka, a mimo to zdecydował się jej pomóc. Że mało kto zdecydowałby się na podobny krok, nawet z miłości. Blishen wybrał drogę, na której oddając

wolność Ísivial, nie tylko tracił ją samą, ale wraz z nią stracił całe swoje dotychczasowe życie. I wiedział, że tak będzie. Trudno było to komentować, więc milczały. W końcu odezwała się Ísivial.

– Jak on się czuje?

Cayenne miała nadzieję, że to pytanie nie padnie. Ale padło i teraz musiała powiedzieć prawdę, tak jak ją usłyszała od Shetastiasa.

– Chyba, niestety, kiepsko.

*

W zlewie pływały kalmary. Na szczęście już nieżywe. Elfowie, jeśli nie mogą oszczędzić żywych istot, starają się przynajmniej oszczędzić im cierpienie. Zlew pełen był więc uśmierconych uprzednio, mackowatych, różowych kalmarów, które Úmile płukała teraz jednego po drugim i przerzucała do dużych glinianych garnczków, gdzie następnie miały się marynować, uzupełniając zimową spiżarnię Sílleior. Úmile zalała octem z wielkiej butli kolejną partię, zatkała drewnianą pokrywą i zawołała:

– Nie cierpię zapasów na zimę!

Nikt z ośmiu osób obecnych w obszernej kuchni nie zareagował, więc powtórzyła, przedzierając się przez szum rozmów, śmiechy nad beczkami śledzi, śpiew na cztery głosy w okolicy zlewu, gdzie drylowano owoce, oraz zwykle odgłosy szatkowania kapust, krojenia marchwi i selerów, wydrążania jabłek i gruszek, a także bulgotanie dżemów i kompotów.

– Nie cierpię zapasów na zimę! Zamiast korzystać z ostatnich dni słońca tkwię w tej głupiej kuchni już trzecią dobę!

– A nie drugą? – wtrącił Amevik, przerywając piosenkę i podrzucając w górę wydrylowaną śliwkę, która posłusznie wpadła mu do ust.

– Otóż nie! Trzecią! Jestem tego pewna, bo podaliśmy w międzyczasie osiem posiłków.

– Potwierdzam – odezwał się Máttimon znad słoików z ogórkami – pierwszego ogórka wrzuciłem do słoika przedwczoraj, eia! Coś czuję, że nie tknę tej zimy ogórków. No i wypadaloby się jednak przespać.

– Wy macie dobrze, przy ogórkach można spać, bo się ich nie szatkuje – zauważył Síriñoan, zwany Maziakiem. Od czasów, kiedy Maziak mazał się z byle powodu (choć w rzeczywistości miał powody!) minęło już sporo czasu i teraz Síriñoan miał już skończonych lat piętnaście, wszyscy jednak traktowali go wciąż jak dziecko, ponieważ był najmłodszy. Tym chętniej podważał każde usłyszané słowo, a największą przyjemność sprawiało mu przygadywanie Máttimonowi, który był ze wszystkich najstarszy. Sam Máttimon jednak, dołączywszy wraz z Blishenem w zeszłym roku do „bandy”, nie tylko nie besztal Maziaka za brak szacunku, ale nawet cieszył się widocznie z takiego traktowania. Ci dwaj zaprzyjaźnili się na swój dziwny, klótlivy sposób, choć dzieliło ich prawie siedemset lat.

– Nie masz racji, Síriñoanie – odparł teraz dawny bibliotekarz, udając ubolewanie. – Wiem to dobrze, bo próbowałem. Kiedy się obudziłem, okazało się, że ostatnie dziewięć słoików mi się przysniło i wszystkie ogórki wylądowały na podłodze. Zalewa również.

– To prawda, spanie z otwartymi oczami ma swoje ograniczenia – wtrąciła Meréll – ale ja wam przyznam, że od przedwczoraj spałam tylko godzinę, a czuję się całkiem dobrze.

– Bo masz chociaż inspirującą robotę – mruknęła Úmile. – Czesanie to przynajmniej jakaś sztuka.

– Eí, przecież siedzę tu z wami i obieram gruszki przez większość czasu.

– Ale miewasz odmianę.

– A ty nie miewasz? – zdumiała się jasnowłosa fryzjerka, potrząsając pokazową fryzurą, złożoną z dwudziestu warkoczyków,

splecionych na czubku głowy w fantazyjną koronę (Meréll często testowała na sobie samej nowe upięcia).

– Eí, tak, w przerwie między kalmarami rozwożę posiłki do jadalni.

– Eí, dekoracja dań to też sztuka. Zresztą nawet i w kalmarach znalazłabym coś inspirującego.

– Proszę bardzo, chętnie się zamienię – Úmile z irytacją plusnęła kolejnym głownogiem, wrzucając go do naczynia. Ze zmęczenia chciało jej się płakać. W momencie, gdy oczy jej się zaszkliły i macki kalmarów straciły ostrość, poczuła dotyk dłoni na ramieniu.

– Úmile, pozwól, że ja to skończę – powiedział niski, atramentowy głos – właśnie uporałem się z grzybami.

– Muíl... – powiedziała, rozpoznawszy Blishena.

– Nie mów do mnie Muíl – przypomniał – i zostaw mi to. Powinnaś się przespać, to widać.

– Eí, a ty?

– Ja czuję się świetnie – zapewnił elf z uśmiechem i zaraz zaczął energicznie oplukiwać kolejną partię i przerzucać do baryłki.

– Dzięki, Blish – szepnęła Úmile i pocałowała go w policzek. Uśmiechnął się i spojrzał na nią ciepło oczami, które były stare i zmęczone, ale miały kolor atramentu. Niebieskiego.

– niesprawiedliwość! – zakrzyknął na to Sírinoan. – Może inni też są zmęczeni, co?

– Eí, właśnie – mruknął Máttimon – Blishen nie śpi już siódmą noc.

– Nieprawda, Matti, drzemałem na warcie – odpowiedział równie cicho Blishen z drugiego końca kuchni.

– Którą miałaś trzy dni temu.

– Nie potrzebuję więcej – odparł Blishen.

– A ja owszem – wtrącił znów Maziak.

– Maziak, nie maziąj się, musimy to zrobić, bo się zepsuje – powiedział Amevik głosem bardzo znużonym.

– Właściwie to Maziak ma rację – odezwał się głos znad kolejnego zlewu. – Nic się nie stanie, jak zrobimy przerwę...

– Eí, właściwie...

– Taaak, absolutnie!

– Eí, dobrze – odezwał się Nashel, pełniący aktualnie funkcję szefa kuchni. – Ogłaszam przerwę dla chętnych. Kto jest zmęczony, może się przespać. Zbiórka na godzinę przed śniadaniem.

Powiedziawszy to, ujrzał, jak bez zbędnych słów kwiat młodzieży Sílleior z upodobaniem porzuca noże i chochle, zdejmując fartuchy i po kolei opuszcza kuchnię. Jedynie Blishen i Máttimon zostali. Ten ostatni zdjął wprawdzie fartuch, ale widząc, że towarzysz nie opuszcza posterunku, lecz nieustępliwie płucze kolejnego kalmara, podszedł do niego i powiedział z troską:

– Blish.

– Matti – odparł tamten tym samym tonem, nie przerywając czynności.

– Idziesz spać.

– Nie jestem śpiący.

– Naprawdę spałeś na tej warcie?

– Czy były następca tronu Sílleior kłamie?

– A czy były bibliotekarz Sílleior kisi ogórki?

– Owszem.

– Więc widzisz, różnie może być. Eí, Blish, proszę, zrób to dla mnie i się połóż.

– Dobrze, położę się.

– Eí, dobrze, wierzę ci. Gdy skończysz z kałamarnicami?

– Gdy będę senny.

– Eíáh! Oszustwo!

– Jak śmiesz!

– Wybacz, jesteś tylko pomocą kuchenną, a ja jestem twoim długoletnim przyjacielem, więc śmiem wątpić, że odczujesz senność w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

– Po co mam spać, skoro nie jestem senny?

– Żeby się nie wykończyć. Przez rozsądek.

– Rozsądek postradałem rok temu – powiedział Blishen, a Nashel postanowił dyskretnie opuścić kuchnię. Ostatecznie zza drzwi słyszy równie dobrze.

– Też go wtedy postradałem – powiedział Máttimon.

– Żalujesz?

– Ani trochę. Eí, dobrze, trochę żal mi książek. Ale generalnie się cieszę, że mogłem to zrobić.

– Nigdy ci tego nie zapomnę.

– Eí, nie masz wyjścia, patrząc codziennie na moją gębę – zauważył pogodnie Máttimon i jego znużony przyjaciel musiał się roześmiać. Przeczesał następnie ręką płoze, sięgające ramion włosy.

Gest ten, znany przez Máttimona sprzed lat powrócił znów po ścięciu włosów, któremu obaj poddali się rok temu w ramach degradacji. Gdy Blishen przeczesywał tak włosy, Máttimonowi zawsze przypominały się dobre czasy, gdy obaj byli młodzikami. Sam niezmiennie cieszył się z odzyskanej niespodziewanie kuchennej bez troski. Gdyby nie brak książek, byłby zupełnie szczęśliwy i chętnie dzieliłby się tym szczęściem z Blishenem, ale nie było o tym mowy. On miał troski. I kiepsko przez to sypiał, pomimo że pracował teraz więcej niż kiedykolwiek. Bo oprócz oficjalnych zajęć pomocnika w kuchni i sprzątacza, nieoficjalnie wciąż brał wciąż udział w zebraniach straży i odbywał warty, nie jako strażnik wprawdzie, lecz jako konserwator. Prawda bowiem była taka, że nowy dowódca miał nikłe pojęcie, jak obsługiwać większość ruchomych zabezpieczeń, które Blishen sam zaprojektował i wykonał. Mimo takiego przeciążenia Blishen nie sypiał prawie i Máttimona, jak i kilka innych osób, mocno to martwiło.

– Blish, a może ty chcesz pogadać?
– Nie, dziękuję. Wolę o tym nie mówić ani nie myśleć.
– Dlatego ciągle pracujesz?
– Szczerze mówiąc, tak, głównie dlatego. Muszę być zajęty, żeby nie odczuwać – urwał i umilkł.
– Czego nie odczuwać?
– Nieważne – powiedział Blishen, znużony.
– Eí, nie chcesz, nie mów. Powiedz mi tylko jedno, czy nie uważasz, że sen byłby równie dobrym, jeśli nie lepszym, lekarstwem na to... odczuwanie? Sprawdzonym do tego!

– Nie – odparł Blishen, zamykając z impetem kolejną barylkę kalmarów. Máttimon nie odpowiedział, więc, może zachęcony ciszą, elf dodał po chwili: – We śnie jest najgorzej.

I zawstydzony swoją słabością, powrócił do oplukiwania owoców morza, unikając tym samym wzroku przyjaciela. Máttimon tymczasem obserwował go bacznie, próbując dojść, co też jego towarzyszowi naprawdę dolega i jak można by mu pomóc. Nie znalazłszy odpowiedzi w lewym profilu Blishena, zapatrzył się dla odmiany na kalmary, następnie zaś wzrok jego padł na butlę octu. I wtedy Máttimon wpadł na pomysł.

– Blishen – zagaił wesołym tonem – a może w takim razie urwalibyśmy się na partyjkę molirona dziś wieczorem? Rozerwiesz się, ja też, pogadamy z kimś innym niż z dzieciakami, powspominamy stare czasy. Co ty na to?

– Niewielu z tych, co pamiętają stare czasy, chce dzisiaj z nami gadać – zauważył niezbyt optymistycznie Blishen.

– Eíáh, a chłopcy ze straży? Grivrell, Mair, Myrion? Są w porządku! Na pewno nie odmówią, szczególnie, jeśli obiecamy dostarczyć dholbir.

– Ha! Eí, zapomniałem, że mamy teraz tę przewagę: dostępność piwniczki! – zaśmiał się Blishen i Máttimon wiedział już, że sprawa jest wygrana. Klepnął przyjaciela w plecy i wyszedł szukać

kompanii do gry w staromodną i niepopularną w tych rewirach pałacu grę w molirona. Równocześnie obiecał sobie wlać wieczorem w Blishena tyle wina, żeby padł i spał jak niedźwiedź co najmniej do południa. Griv i chłopcy ze straży na pewno mu w tym pomogą.